

JÓZEF WITTLIN

MÓJ LWÓW

(ciąg dalszy ze str. 19)

Jak gawrosz stanowiąc niegdyś typowy okaz ludzkiej fauny Paryża, tak najpospolitszym przedstawicielem człowieka fauny Lwowa jest dziecko ulicy, znane w całym cywilizowanym i niecywilizowanym świecie pod miazd-



Obok batiara zaśląnął także lwowski kołtun. Typ to, jak wszystko, co lwowskie, złożony i trudny do zdefiniowania. Bo co to jest kołtun? Dośćownie: choroba uwłosieniania, spowodowana brudem. Po łacinie: *plica polonica*. W przenośni: człowiek nieoświecony, nieokrzesany, zacofany. Skrzywdziłibyśmy lwowską kołtunię tą definicją. Albowiem nasz kołtun — to przede wszystkim członek bractwa kurkowego "Strzelnica". Większość braci stanowią co prawda nie bardzo biegli w humaniorach majstrowie i starsi równych cechów, nie wyłączając rzeźniczego, lecz obok nich należeli do "Strzelnicy" także ludzie wykształceni, delikatni, a nawet, jak się przekonamy — uczeni. Na ogół lwowski kołtun — to poczciwy gbur, niewybredny łyk, bohater sztuk Gabrieli Zapolskiej. Przy tym patriota, przeważnie lokalny, z odcieniem tromtadracji. W patetycznych momentach bywał kołtun skłonny do wielkich ofiar — z cudzego życia i mienia. Niekiedy nawet z własnego. Dużą rolę za mojej pamięci odegrała kołtunię strzelnicowa na lwowskim ratuszu, dostarczając miastu kilku wybitnych burmistrzów, jak: kowal Michał Michalski, blacharz Stanisław Ciuchciński i drukarz Józef Neumann. Rozumie się, że "Strzelnica" majoryzowała ławy radnych miejskich. Co roku wybierali bracia kurkowi swego króla i, wbrew temu, cośmy rzekli o niechęci Lwowa do pompy - występowali na uroczystościach nadzwyczaj strojnie i szumnie: w kontuszach, przy karabeli, jak herbowa magnateria.

Strój ten był od dawna przywilejem lwowskiego patrycjatu i niejako oficjalnym umundurowaniem prezydentów i wiceprezydentów miasta, bez względu na ich pochodzenie i wiarę. Jednym z trzech wiceprezydentów zawsze bywał Żyd, który na galonki też kładł czarny kontusz i

przypasywał karabelę. Nikt się temu nie dziwił i nikogo to nie gorszyło.

Z wszystkich specymenów klanu kołtunów kurkowych najlepiej utkwili mi w pamięci radny Walery Włodzimirski. Z zawodu chemik, miał swoje laboratorium na parterze starej kamienicy przy ul. Jagiellońskiej — na przeciw "Pawilonu szampańskiego". Chodziłem tamtędy do szkoły i nieraz ulegałem pokusie zajrzenia przez niskie okna — do środka. To, com widział, po dziś dzień kojarzy mi się raczej z alchemią niż z chemią. Była to bowiem pracownia Fausta. Olbrzymia, nie pamiętam już czy sklepiona sala, zapchana stołami, szafami, półkami, w których gęsto połyskuje szkło najfantastyczniejszych kształtów. Dziwacznie poskręcane rury, leje, naczyńka połączone, brzuchate banie, butle, metalowe zbiorniki, retorty i probówki puste lub napełnione cieczą najrozmaitszych barw. A w tajemniczej głębi dymią piece, piecyki, sapały miechy, a wszystko — w niezmiernym, płowym świetle gazu. Czasem buchną jakieś niesamowite ognie i odbijają się wielokrotnie w bateriach szkła. Kłęby pary na moment wszystko zakryją, aby następnie odsłonić całe to czarnoksięstwo, wśród którego uwija się jedyna ludzka postać — niskiego wzrostu, w tużurku, o twarzy rumianej, ozdobionej dużymi, czarnymi, cesarskimi bokobrodami. Niekiedy przytknie do ust długą szklaną piszczałkę, rzekłbyś: zagra jakąś czarodziejską dumkę i obudzi uspięte w słojach trucizny i wyzwoły uwieszone śmierci, które zaczną się wic jak węże, zakłęte graniami derwisza. Lecz nie przypominam sobie, żeby jakowyś dźwięk wyszedł z lewara, choć magik Włodzimirski dął zapamiętałe, aż mu policzki spęczniały, a czarne bokobrody rozpostarły się na boki, niby skrzydła egzotycznego ptaszyska. Jeszcze chwila, a oderwą się od twarzy i ulecą w powietrze. W takiej chwili utożsamiałem Włodzimirskiego z czarodziejem Fregolo, który obok, w sąsiednim domu, w kinie "The Dreamland", przy dźwiękach fisharmonii wyskakiwał na płótno z bajecznie kolorowych kwiatów i przepadał w fosforycznej chmurze dymu. Był to jeden z mirażów owej poetycznej fazy młodej podówczas kinematografii. Tak, radny Walery Włodzimirski był niewątpliwie lwowskim Faustem. A to, że często pokazywał się publicznie w czarnym kołpaku z piórkami, w kontuszu, z karabelą i z dużym pozłacanym kogutem na piersi — przysługiwało mu ponadto podobieństwa do polskiego czarnoksięznika Twardowskiego. Zwłaszcza ten kogut. Czar przysnął, kiedy, pewnego dnia, kazano mi zanieść do Włodzimirskiego zawiniętą w papier butelczynę z nader osobistym płynem. Bo co tu dłużej ukrywać? Nasz Faust wszystkim niemal pacjentom tej dzielnicy miasta robił analizy, dopóki nie wzięli się do tego aptekarze, czyli jak ich w dawnych nazywano wiekach — aromatariusze.

Skoro już mowa o aptekach, wspomnijmy przynajmniej te, co przyczyniły się zarówno do zdrowotności lwowian, jak i do malowniczości lwowskiego pejzażu. Prawie każda miała swojego patrona, pięknie uwidocznionego na sztydach i wywieszkach. Dobór patronatu nad tymi arsenalami zdrowia świadczył niekiedy o dużej wyobraźni magistrów farmacji, których, nie wiedzieć czemu, pomawiano o brak wyobraźni. Bo jeśli np. apteka u zbiegu ulic Zielonej i Wincentego Pola polecała swe preparaty czy klientów opiece Matki Boskiej — wszystko w porządku. Nie tylko we Lwowie modlili się do Niej ludzie o uzdrowienie. Tak samo nie trzeba tłumaczyć nazwy apteki "Pod Duchem Świętym" lub "Pod Opatrznością Boską" (wywieszka: olbrzymie oko

ską nazwą batiara. Mylne wszakże byłoby mniemanie, że każdy batiar jest dzieckiem ulicy, a za ojca ma ryszotok. Batiary rodziły się również w patrycjuszowskich pałacach, a często w szlacheckich dworach. Niejeden z nich później trząsł parlamentem wiedeńskim lub chadzał w profesorskiej todze, pobrzękując dziekańskim, ba, nawet rektorskim łańcuchem, a nie — kajdankami. A po łacinie gadał — no trudno — z akcentem górnoślązkowskim lub zamarynowskim, co przecież nie mogło razić cieni starożytnych Rzymian, skoro nie wiemy, jak brzmiała antyczna łacina. Kto znał śp. profesora Wilhelma Bruchnalskiego, jednego z najznakomitszych polonistów lwowskiego uniwersytetu, lub śp. Profesora Zygmunta Lempickiego, któremu Niemcy wynagrodzili śmiercią w Oświęcimiu długoletnie nauczanie w Uniwersytecie Warszawskim ich języka i literatury, nie zarzuci mi przesady. A skoro już wspominaliśmy męczenników tej wojny, winniśmy złożyć hołd arcylwowskiej postaci, zbliżonej do batiara, jaką był śp. Profesor Kazimierz Bartel, wielki "ktoś", uczony, mąż stanu i patriota. Kawał batiara tkwi w samym mieście, w całej jego fizycznej i moralnej strukturze. Wzniesienia i zapadłości, egzaltacja i przyziemność, balsamiczne wonie i pełtewny cuch. Przechytny włoski renesans, kościelny i świecki, dzieła Pawła Rzymianina i Pietra Italo-Krasowskiego, równie bogaty barok, a obok wiedeńska secesja i koszarowa tandeta. Miasto-batiar jest nieobliczalne. Nie wiadomo, kiedy przejdzie od patosu do groteski, od bohaterstwa do "strugania funia", od porzeczku w trzy pary farbowanych na czarno koni Kurkowskiego do - mitycznego "balu weteranów", zakończonego o północy zjawieniem się dwóch cywili, którzy nie nikomu nie mówili, światła pogasili i tylko w morde bili.

